



XX Rozmowa z księdzem biskupem Edwardem Dajczakiem, ordynariuszem Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej

- Chodzi czasami ksiądz biskup po Koszalinie jako „cywil”?

- Często. I nawet kiedy jestem w kapłańskiej koszuli, to incognito. Chodzę, żeby się dotlenić. Tak po prostu. Miasto zwykle oglądam szybko, z okna samochodu, kiedy gdzieś jadę służbowo. Spacer to moment tylko dla mnie. Chodzę i cieszę się każdą nową rzeczą, jaką widzę.

- Jaki jest Koszalin z tej perspektywy?

- Przyjechałem tu siedem lat temu. Wcześniej znałem miasto „z widzenia”. Widziałem katedrę i jej okolice, ewentualnie jechaliśmy gdzieś na parafię, bo byłem wówczas biskupem w Metropolii Szczecińsko-Kamieńskiej, a Koszalin, Zielona Góra i Szczecin jako biskupstwa ją tworzyły. I kiedy przyszedłem tu do naszej diecezji marzyłem o tym, żeby to był mój dom. Zawsze gdy o tym mówię, przytaczam słowa mojego świętej pamięci Taty, który po mniej więcej roku mojego pobytu w Koszalinie, gdy do mnie zadzwonił, zaczął wypytywać, gdzie ja w tym momencie jestem. On nigdy nie był ciekawski. Pomyślałem: „Co się dzieje, że starszy pan dopytuje, gdzie syn się podziewa?”. Odpowiedziałem: „W domu”. Nastąpiła cisza w słuchawce. Po dłuższej chwili Ojciec mówi: „Czekałem, kiedy to powiesz”.

- Widocznie On również tego pragnął dla syna.

- Jestem zaskoczony, że tak szybko i tak mocno wrosłem w Koszalin. Naprawdę bardzo dobrze się tu czuję i wiem, że jestem u siebie. Zaskoczyłem nawet kiedyś jednego z biskupów, mówiąc mu, że jadę do domu. A on na to: „Ale jak ty chcesz dojechać do domu? Przecież jutro masz zajęcia”. Odpowiedziałem: „No, jak to? Wracam do swojego biskupiego domu!”. Zdziwił się, a było to kilka lat temu. To moje wrastanie w miasto sprawia, że cieszę się każdym pozytywnym drobiazgiem. Z satysfakcją słucham ludzi, którzy się cieszą dobrymi rzeczami, które się tu dokonują. Mam taką naturę, że ich radość staje się moją radością. Mimo że kłopotów nie brakuje. Diecezja jest największą terytorialnie diecezją w Polsce...

... jedną z biedniejszych i najbardziej zlaicyzowaną.

- Tak, kilka rzeczy na raz. Największy teren, ale ludnościowo jedna z mniejszych, uboga. Wciąż żywe są skutki sposobu, w jaki zlikwidowano Państwowe Gospodarstwa Rolne. To wypchnęło tysiące ludzi w gorsze sytuacje niż te, w których byli przedtem. Nie mogli się podnieść, nie mogli się odnaleźć. I między innymi pogłębiało proces ich zlaicyzowania. Ale powiedziałbym, że nie jest to laicyzm świadomy. To bardziej jest letniość, która się ożywa przy religijnych uroczystościach i przygasa na co dzień.

- Proboszczowie mówią, że znikają im całe rodziny. Kiedyś ci ludzie chodzili do kościoła, ale przestali. Jeszcze przyjmują księdza po kolędzie, ujawniają się przy okazji pierwszej komunii dziecka, ślubu albo pogrzebu. Ale dla Kościoła już ich właściwie nie ma.

- To jest charakterystyczne dla postaw religijnych z bardzo zwietrzałą, letnią wiarą. Coś jeszcze jest, ale nie na tyle mocne i silne, by motywowało do innego życia, do pewnych czynów czy też wyborów. Ta reszta, która pozostała z wiary jest tak słaba, że ma ograniczony wpływ na życie człowieka.

- Niedawno, w końcówce PRL-u, kościoły były pełne. Po 25 latach wolności i po zmianie ustroju, kościoły nie są całkiem puste, ale pustawe. Wypełniają je w większości ludzie w bardzo dojrzałym wieku. Największy problem stanowi zaś pokolenie 30- i 40-latków. Dowiedziałem się o eksperymencie wykonanym na początku września tego roku w Koszalinie w klasach drugich, czyli wśród dzieci pierwszokomunijnych. Księża zapytali, ile dzieci było w niedzielę z rodzicami w kościele. Wynik okazał się zaskakujący. Raptem od pięciu do dziesięciu procent dzieci było ze swymi 30- czy 40-letnimi rodzicami na

niedzielnej mszy.

- Nie potrafię się do tego ustosunkować, bo nie znam tego eksperymentu. Ale nie mam cienia wątpliwości, że tendencja jest zła. W Koszalinie w określoną niedzielę na Eucharystii jest niepełne 20 procent ludzi, ale część z nich pojawia się tam na zasadzie przeplatanki. Chodzą w co którąś niedzielę. Zdecydowanej większości w Kościele nie ma, to oczywiste. Staram się prowadzić diecezję w nurcie Nowej Ewangelizacji. Jej zadaniem jest przede wszystkim pogłębienie wiary tych, którzy są w Kościele. To tak zwana ewangelizacja do wewnątrz. Chodzi w niej o to, by ci którzy są w Kościele, byli w nim bardziej świadomie. Kiedy nie ma rzeczywistej relacji z Bogiem, obojętnie jak ją nazwiemy, Bóg staje się ideą i pojęciem, a te możemy szanować, ale personalnie nikt ich nie kocha. I to jest podstawowa rzecz. Sama nauka, uczenie, nie rozwiązuje tej kwestii; ja to nazywam faszerowaniem do poziomu głowy. To nie schodzi do serca. I w tym momencie trudno mówić o wierze. Mówi się w gruncie rzeczy tylko o wiedzy, o przekonaniach.

Często w związku z wizytacjami parafii idę do młodych ludzi w szkole i z nimi rozmawiam na takiej zasadzie, że oni zadają pytania i przekazują je księdzu, a ja odpowiadam na każde. Zawsze powtarzam, by tych pytań w żaden sposób nie redagować, nie zmieniać. Chcę odpowiadać na to, co naprawdę interesuje młodzież. I widzę jak na dłoni, że oni nie są kontra, ale po prostu przy pojęciu Boga pojawia się coś zadaniowego. Przygotowuję się do pierwszej komunii. Odbędzie się pierwsza komunie. Zamknięta sprawa. Przerwa. A następnie etap bierzmowania, znów traktowanego jako coś do zaliczenia. Tu nie można mówić o wierze.

- Ale potrzeba doświadczenia religijnego, wiary istnieje. W moim odczuciu ludzie, również ci młodzi, nie tyle mają problem z wiarą czy z potrzebą wiary, co z Kościołem.

- To fakt. I faktem jest również to, że z tymi młodymi problem ma nie tylko Kościół. To żadna pociecha, ale ja po prostu chcę wyjaśnić skąd to się bierze. Szybkość zmian mentalnych jest tak duża, że wszystkie wspólnoty, włącznie z najważniejszą, rodzinną, mają problemy z komunikacją z młodymi ludźmi. Liczba rodziców mających takie trudności jest nieproporcjonalnie większa do tej z czasu mojej młodości. Z Kościołem dzieje się podobnie. Szybkość zmian powoduje, że wielu kapłanów czy nawet świeckich zaangażowanych w pomoc dla parafii z młodym pokoleniem ma problemy. Jest sprawdzony pomysł, jak to rozwiązać: dwa czy trzy lata starsi od swoich kolegów i koleżanek młodzi ludzie żywej wiary lepiej radzą sobie z komunikacją z tymi młodszymi niż my, dojrzałsi wiekowo.

- Myślę, że istotną kwestią jest potrzeba poczucia wspólnoty. Młodzi rzadko mogą doświadczyć tego w typowej parafii. Ksiądz biskup jest kojarzony z nurtem Nowej Ewangelizacji, więc jest najlepszym adresatem pytania, jaki pomysł ma Kościół na to, żeby przynajmniej spowolnić zjawisko odpływu ludzi?

- Przez ostatnie kilkadziesiąt lat najbardziej żywi w wierze ludzie kształtowali się w swoich rodzinach i w różnych grupach parafialnych. Oni traktowali parafię jako swoją wspólnotę. Tymczasem zaszły wokół nas kolosalne przemiany. Bombarduje nas zewsząd mnóstwo propozycji. Młodzi są tak zaabsorbowani, że mają mało czasu na to, by wybierać i budować w sobie złożoną identyfikację: to jest moja grupa religijna, a to towarzyska, a jeszcze w innej łączą nas wspólne zainteresowania. Wybierają jedną grupę, na więcej nie mają czasu. I paradoksalnie to jest również szansa, co potwierdzają doświadczenia z naszej diecezji – z miejsc, gdzie mamy sprawne duszpastersko parafie.

- Co to znaczy parafie sprawne duszpastersko?

- Zilustruję to w taki sposób. Od 15 lat jeżdżę na Przystanek Woodstock. Jestem tam w ramach tak zwanego Przystanku Jezus i ewangelizacji. Są tam również socjologowie, którzy przez kilkanaście lat jeżdżą na Woodstock, żeby badać młode pokolenie. Miałem niedawno ciekawą rozmowę z socjologiem właśnie. Powiedział mi taką rzecz: „Młodzi ludzie znajdują się we wspólnocie Kościoła, kiedy ta wspólnota zapewni im spotkanie z Bogiem, którego wielu jeszcze chce. Ale musi to być wspólnota koleżeńska, w jej przestrzeni znajdzie się miejsce na to żeby na przykład pobawić się na dyskotece, albo jako paczka pojechać z księdzem czy z kimś innym, kto ich prowadzi, w góry”. I mamy takich przewodników. Nie jest ich jeszcze wielu i musimy robić wszystko, by znajdować następnych, bo taki system oddziaływania sprawdza się doskonale.

- Na mnie ogromne wrażenie zrobiło to, co niedawno zdarzyło się w Bornem Sulinowie. W miasteczku, które jest świeżą mieszanką ludzi z całej Polski, pojawił się baptysta, pastor, który szybko zgromadził wokół siebie kilkudziesięciu młodych ludzi. Wysłany przez księdza biskupa duchowny potrafił ich „przywołać” z powrotem do Kościoła.

- Borne Sulinowo jest najlepszym przykładem, że to co działa i się sprawdza, to niekoniecznie musi być tradycyjna wspólnota. Borne Sulinowo pokazuje klucz do młodych ludzi: cała przestrzeń, kubatura kościoła z budynkami, ze wszystkim, jest otwartą, przyjazną przestrzenią, gdzie ci młodzi ludzie swoje oczekiwania, swoją potrzebę wspólnoty, bliskości, szczerości,

kontaktów i również kontaktu z Bogiem znajdują. I wtedy będą się trzymać siebie nawzajem i Kościoła. Nigdzie indziej w diecezji nie ma takiej - jak pan to nazwał - mieszanki ludzkiej. Tam społeczność dopiero się kształtuje, bo wycofujący się Rosjanie oddali miasteczko polskiej administracji jakieś 20 lat temu, a jednocześnie jest to jedna z najbardziej żywych parafii. Po tym przykładzie widać, co trzeba robić.

- Dla większości gimnazjalistów doświadczenie z Kościołem polega na tym, że uczą się religii. Dwie godziny tygodniowo traktowane jako kolejne lekcje, przymus. Czy dla żarliwości i zaangażowania młodzieży nie byłoby lepiej, gdyby lekcje religii wróciły do salek katechetycznych przy parafiach? Chodziliby na nie ci, którzy naprawdę tego chcą, z przekonania.

- Nie jestem zwolennikiem takiego nawrotu. W szkole młodym ludziom przekazuje się różne wartości. Tym, którzy nie chcą uczyć się religii, coraz częściej organizuje się lekcje etyki. Nie wyobrażam sobie szkoły, która ograniczyłaby się jedynie do uczenia przedmiotowego. Tak nie da się ukształtować człowieka. Gdy rozmawiam z rodzicami, którzy mają duże problemy ze swoimi dziećmi, a nie jest to rzadkość, słyszę, że nauczono ich wielu rzeczy, ale nie tego, jak być rodzicem. Jest oczywiście pytanie, czy realizowany program nauczania religii nie wymaga korekty w stosunku do sytuacji życiowej tych dzieci. Uważam, że wymaga. Moje widzenie szkoły nie jest tylko takim widzeniem, gdzie pokazuje się tabele i wystawia oceny i tylko z czymś takim wypuszcza się człowieka w świat. Myślę, że można zrobić znacznie więcej. Kształtowanie sumień, spójnego systemu wartości jest dzisiaj bardzo trudne, bo wokół jest ogromna różnorodność kuszących propozycji i dlatego ludzie wybierają różne drogi. Dlatego człowiek nie szuka kontaktu z Bogiem, a szuka innych miejsc. Podkreślam: jeśli szkoła ograniczy swoją rolę do zagospodarowania głowy, do umeblowania jej wiedzą, wyśle w świat ludzi nieprzygotowanych do radzenia sobie ze współczesnymi problemami, ludzi słabych.

- Zdarza się, że kilkunastoletni człowiek, który potrzebuje cierpliwego i otwartego objaśnienia spraw, w odpowiedzi na swoje trudne, uprawnione pytania czy wątpliwości słyszy odpowiedź, która go właściwie usadza. Często nauczyciele religii, również księża, stają bezradni wobec pytań i w tej bezradności upokarzają ucznia, odwołując się do formalnego autorytetu albo nawet ośmieszając nastolatka wobec klasy. Wydaje się to przykre.

- Przykre? Nie nazwałbym tego tak łagodnie. To nieszczęście. Nauczyciele religii są, jak w każdej profesji, bardzo dobrzy, dobrzy, średni i słabi. Nauczyciel, nieważne: świecki czy duchowny, musi być na tyle dojrzały, że nawet kiedy czegoś nie wie, powinien douczyć się i odpowiedzieć. Na pewno nie powinien nikogo upokarzać, zniechęcając do zadawania trudnych

pytań. Inaczej traci autorytet - i to jest jego nieszczęście. I to jest również nieszczęście dla tych młodych ludzi, gdy kogoś takiego spotykają, kto zamiast pomóc, przeszkadza im w rozwoju. Młody człowiek jest wrażliwy i nie znosi sytuacji, w których nie jest akceptowany. Jego poszukiwanie musi być przyjęte jako naturalny stan. Jeśli ktoś, kto jest powołany do tego, by pomagać rozwiązać dylematy, przeszkadza w tym, to jest to przegrana wszystkich. Ja na Woodstocku rozmawiam albo nawet spowiadam ludzi po takich doświadczeniach, głęboko zrażonych. Po wielu latach to nadal w nich tkwi i jest żywe. Kiedy się z nimi siedzi i zaczyna rozmawiać, to coś w nich pęka. Przywykłem, że zawsze w takich sytuacjach następuje uogólnienie: „bo Kościół cały jest taki” albo „oni wszyscy są tacy”. Zresztą tak to już się dzieje, że w przypadku negatywnych doświadczeń łatwiej jest nam uogólniać. Gdy zaś na swojej drodze spotykamy kogoś, kto się sprawdza w swojej roli i ludziom pomaga, to wtedy powiemy „ten konkretny ksiądz, ten konkretny katecheta jest super”. I to, będąc katechetą czy księdzem, trzeba wiedzieć, mieć świadomość, jak bardzo ważne i odpowiedzialne zadanie przyszło nam wypełniać.

- Przystanek Woodstock to nie przypadek. Jak była motywacja księdza biskupa, by się w to zaangażować?

- Bardzo prosta. Byłem biskupem w diecezji, na terenie której, w miejscowości Żary, odbywał się festiwal. Duże wydarzenie, ogromna liczba młodych ludzi. Umówiłem się z jednym księdzem, wzięliśmy ze sobą 50-60 osób i wyszliśmy na plac. Oni mają tam swoje wywieszki, totemy a my postawiliśmy krzyż i zrobiliśmy mini ołtarz. Wszyscy byli zdziwieni, co to za faceci w sutannach. Zacząłem rozmawiać z tymi młodymi ludźmi. I kiedy trochę tam pobylem, odkryłem coś niesamowitego: oni nie są generalnie przeciw Kościołowi. Przy takiej liczbie zgromadzonych jest ogromna różnorodność postaw. Można spotkać tam fantastycznych ludzi przyjeżdżających na przykład na jeden konkretny zespół, na określone koncerty, albo ogólnie w poszukiwaniu luzu. Najbardziej biedna jest ta najmłodsza młodzież, bo ona tam często doświadczy rzeczy trudnych, ponieważ znalazła się po raz pierwszy poza kontrolą rodzicielską. Ale nie w tym rzecz. Ja zauważyłem to, że do tych najbardziej zagubionych, ręce wyciągają rozmaici ludzie, organizacje, wspólnoty - łącznie z sektami. Jeżeli to jest inna wspólnota wiary, to pół biedy, ale jeśli jest to sekta, to jest to zaproszenie do niewoli. I wtedy powiedziałem sobie: „A my, największy Kościół? Dlaczego nas tam nie ma?”. I poszliśmy. Teraz, po wielu latach, usłyszałem taką konkluzję od jednego z biskupów, biskupa Grzegorza Rysia z Krakowa, który był również na Przystanku. Powiedział: „Tam znacznie więcej razy powiedziano do nas Szczęść Boże niż na ulicach Krakowa”. Wtedy idący z nim młody człowiek powiedział: „Proszę księdza biskupa, my tu jesteśmy już 15 lat z otwarciem i życzliwością do tych ludzi”. Ja myślę, że to też jest odpowiedź, w jaką stronę powinien iść Kościół. Jeżeli tam można zaakceptować ten Kościół, przy takiej różnorodności, przy takiej gamie różnych zachowań, to jest odkrycie właściwego klucza, jak powinniśmy działać.

- Tak, ale to jest przyjęcie innej komunikacji, innej formuły. Czy księża są do tego przygotowani?

- Cały wysiłek, nasz wewnętrzny, idzie na wyraźne przestawienie się na dialogiczność. Bo potrzeba właśnie dialogu i potrzeba umiejętności dialogowania. Bardzo nam pomaga obecny Papież mówiąc: „Idźcie do ludzi”. Ja wyszedłem na ten plac Woodstocku i doświadczyłem, że komunikacja jest możliwa. Nawet wtedy, kiedy po drugiej stronie, w młodym człowieku, jest największe wycofanie się, już nie mówiąc o ranie wewnętrznej, bo trzeba rozumieć, że w takiej sytuacji z trudem się komuś ufa, człowiek jest zdystansowany. Ale nawet w takim klimacie da się rozmawiać. I rzeczywiście musimy się przestawiać na nowe myślenie. Im szybciej, tym lepiej.

- Chciałbym w kontekście Koszalina porozmawiać o tożsamości. W Bornem Sulnowie, tym współczesnym tyglu ludzkim jakim zaraz po II wojnie światowej były całe nasze ziemie północne i zachodnie, trudno mówić o silnej więzi społecznej. Ale jej potrzeba jest czymś silnie odczuwalnym. Na czym, według księdza biskupa, można tutaj budować tożsamość lokalną?

- Nie ma wątpliwości, że ludzie tutaj mieszkający mają swoisty sposób reagowania, zupełnie odmienny niż w innych regionach Polski. Wiem to z własnego doświadczenia. Miałem okazję to obserwować, bo pochodzę z okolic Świebodzina i mam tam nadal wielu znajomych. Obserwowałem parę miejscowości na Ziemi Lubuskiej, autochtonicznych, gdzie mieszkańcy byli u siebie od zawsze. Ich myślenie o ziemi, gospodarstwie, miejscowości, to było coś zupełnie innego niż myślenie ludzi, którzy pojawili się w pobliskich miejscowościach dopiero po 1945 roku. To miało ważne skutki w czasie, kiedy po 1989 roku rozpoczynał się etap samorządowy. We wsiach autochtonicznych ludzie reagowali zdrowo. Natychmiast zabrali się do roboty, do samoorganizacji. Wybierali z głową, odpowiedzialnie. W tej drugiej części panowała apatia, a wybory wygrywano za parę skrzynek taniego wina albo piwa. Tam nikt nie wiedział, o co chodzi z tą samorządnością, po co to. Wtedy dopiero się uczyliśmy samorządności i to była ogromna różnica widoczna gołym okiem. Sam na swój sposób doświadczyłem tego braku zakorzenienia. Kiedy moi dziadkowie i moi rodzice mówili: „A u nas, w naszym domu, to było tak i tak”, to myśleli o terenach lwowsko-tarnopolskich, skąd pochodzili. Ja o tamtych terenach nigdy nie mówię „W domu”. Kiedy mówiłem „u nas”, to myślałem o mojej wsi na Ziemi Lubuskiej, o moim domu rodzinnym, a jestem jednym z pierwszych urodzonych w pokoleniu powojennym. Ale nawet to jeszcze nie znaczy, że się siedzi po uszy w tej rzeczywistości. Są dwa, trzy pokolenia tych młodszych, który tak jak u nas, w Koszalinie, mówią „jestem koszalinianinem”, ale starsi sercem są nadal gdzie indziej. Nie odkryliśmy jeszcze głębokich zależności społecznych, dopiero się tego uczymy. Dam taki przykład. W niewielkiej miejscowości, z zakorzenioną społecznością mieszkańców, budowano kościół. Mała wieś, jakieś 30 rodzin, nie dałaby rady sfinansować prac. Wieś szybko podzieliła się na kilka grup, które jeździły do sąsiednich parafii,

i za zgodą swojego i tamtych księży proboszczów, po mszy świętej występowały z apelami o wsparcie. Mówili, że budują, ale ich nie stać i proszą o pomoc. I zdołali ten kościół z tą pomocą wybudować. Gdybyśmy u nas chcieli zorganizować taką kwestę to byłaby ona nie do przeprowadzenia. Nie możemy mówić, że Koszalin nie ma swojej tożsamości, że koszalinianie jej nie mają, ale stopień wrastania w te ziemie jest nieporównywalny.

Moim zdaniem jest to sprawa wielopokoleniowa. Proszę pamiętać, że wszystkie lata powojenne, praktycznie do pęknięcia starego systemu, nie sprzyjały budowaniu jedności i zaufania, a władzy wcale nie zależało na więzi, bo ona była dla niej raczej niebezpieczna. Kiedy byliśmy zatomizowani, łatwiej było nami rządzić, trzymać w strachu. To ma trwałe skutki.

Podzielę się takim oto doświadczeniem. Przyjeżdżam na parafię wiejską, w której są cztery kościoły filialne. Zajeżdżam do każdej wsi. I w każdej wsi jestem w innym świecie! Przy tym samy proboszczu i tym samym sposobie prowadzenia parafii. W jednej ciepłe przyjęcie, serdeczność, otwartość. Jadę cztery kilometry dalej i czuję się, jak w lodówce: jacyś tacy przykuleni ludzie, bez uśmiechu na twarzy, nie mający ochoty na kontakt. Bardzo trudno z takiej różnorodności nastawień budować jednolitą społeczność o głębokiej tożsamości. Ja myślę, że kiedy się w Koszalinie mówi: „To jest moja mała ojczyzna, mój dom, mój świat, tu są moje groby, moja rzeczywistość”, to ta wspólnotowość i tożsamość powoli narasta, ale minione 70 lat to wciąż za mało, by więź stała się tak silna jak w Wielkopolsce, na Podkarpaciu albo we wschodnich dzielnicach kraju.

- Takie apele, jak księdza biskupa podczas otwarcia filharmonii w Koszalinie, moim zdaniem, sprzyjają budowaniu tożsamości. Ksiądz biskup powiedział wtedy do około 500 osób, że to jest miła uroczystość, spotkanie koszalińskiej elity, która się tutaj cieszy z sukcesu, ale też powinna mieć poczucie odpowiedzialności. „Jesteście coś winni tym słabszym, którzy nie konsumują sukcesu”. Jak to ksiądz widzi? Czy rzeczywiście koszalińska elita (rozumiana jako politycy, urzędnicy, przedsiębiorcy), wykazuje odpowiednią postawę? Rzeczywiście interesuje się ona słabszymi? Nie myślę tu o tych, którzy znaleźli się na marginesie społeczeństwa z własnej winy, ale po prostu o biednych i niezaradnych?

- Ale nawet biorąc pod uwagę skrajność, margines w tym typowym znaczeniu, to i tak ktoś powinien im podać chleb. Moja radość jest w tym, że spotykam ludzi aktywnych. Gdybym miał określić, jak ich jest dużo, byłbym nieuczciwy, bo nawet dokładnie ich nie znam. Natomiast począwszy od elit politycznych, poprzez biznesowe, do ludzi zaangażowanych w kulturę, moim szczęściem jest to, że trafiam na tych, którzy nie są obojętni. Może gdzieś się szukamy w tym wszystkim, być może nie boją się oni wejść w drogę biskupowi nawet wtedy kiedy niekoniecznie są praktykującymi katolikami. Ale tworzymy jakieś wspólne dzieło i myślę, że wciąż jest niedobór takich ludzi. Że w tym trudnym naszym świecie, niezasobnym aż tak pod względem

materialnym, ale i pod względem kulturowym o to by chodziło, żeby jak to się mówi „pod te strzechy trafić”. Trochę takich ludzi w Koszalinie znam i jestem szczęśliwy, że oni są. Mnie nauczył bardzo wiele kardynał nominat Ignacy Jeż, z którym przebywałem całe lata i tak długo miałem z nim kontakt. On mnie fascynował tym, że będąc już emerytem, kiedy spotkaliśmy się po wakacjach, ciągle zadawał mi to samo pytanie: „To jak to jest z tym młodym pokoleniem? Wróciłeś z Woodstocku, mów mi teraz”. On był pasjonatem. Kiedy przyjechałem do Koszalina, na spotkaniu z dziennikarzami zadano mi pytanie: „Kiedy ksiądz biskup zamierza wyjechać?” (chodziło zapewne o fakt, że poprzedni ordynariusze diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej arcybiskup Marian Gołębiowski i kardynał Kazimierz Nycz szybko awansowali w hierarchii Kościoła i wyjeżdżali do nowych obowiązków – przyp. AM). Ja mówię: „Chwileczkę, dopiero co przyjechałem” i dodałem: „Ja zamierzam tutaj umrzeć”.

Po południu byłem umówiony na kawę z księdzem Biskupem Seniosem. Wchodzę i mówię: „jacyś dziwni są ci nasi dziennikarze”, a on mi odpowiada: „Oni wiedzą co mówią, ale mnie bardziej interesuje, coś ty im odpowiedział?” „Chcę tu umrzeć”. Zaczęliśmy poważną rozmowę. Ja księdza biskupa Jeża znałem jeszcze z Gorzowa, gdy byłem początkującym klerykiem. Ale tutaj, po owej konferencji prasowej, zobaczyłem człowieka niezwykłego, który opowiada o swoim domu, o Koszalinie, o diecezji, która jest teraz moja. Wtedy po raz pierwszy dostałem dobrą lekcję. Zastanawiałem się, czy ja, facet pod sześćdziesiątkę, mogę przesadzić się jak drzewo w nowe miejsce? Kiedy patrzyłem na Niego, to wiedziałem, że jest to możliwe. Tak opowiadał mi o Koszalinie, o ludziach. Nawet o tych, którzy byli zaangażowani w PZPR. Mówił: „Ja im jako biskup pomagałem być człowiekiem. Tyle ile można było zrobić”. Rozmawialiśmy w zaciszu domu, w którym teraz jesteśmy. On mnie nauczył jak iść, co robić, by być u siebie, żeby siedzieć po uszy w tym, co się robi.

- Mówiąc dosadnie, biskup Ignacy Jeż to był „Gość” przez bardzo duże G. On również znajdował liczne okazje, by w skromnej, szarej marynarce chodzić po ulicach Koszalina i rozmawiać z napotykanymi ludźmi.

- I on chodził dużo więcej niż ja (śmiech).

- Wiele osób tak Go pamięta.

- Miał trasę i sobie szedł. Pamiętam to jeszcze z Gorzowa, gdzie zawsze przechodził obok internatu, w którym mieszkałem. Był niezwykle otwarty na ludzi.

- Wróćmy jeszcze do tożsamości, bo ona wpływa także na postawy prospołeczne. Minimum aktywności obywatelskiej jest udział w wyborach. Tymczasem w tych samorządowych frekwencja jest niższa niż w parlamentarnych, co oznacza, że ludzie mają mniejsze poczucie wpływu na poziomie lokalnym niż w skali całego kraju. Jak to zmienić?

- To jest chyba jedna z najbardziej bolesnych spraw. Mieszkając na pograniczu Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej obserwowałem, że w tych tradycyjnych wsiach frekwencja była wielokrotnością frekwencji na tych tzw. naszych ziemiach. I tego samego doświadczam w Koszalinie. Jak się nie wrośnie w ziemię mocno, to troska o nią ma niską skalę. Mój świat, to wtedy tylko moja rodzina. Wyraźnie mniejsza prospołeczność. Doświadczamy tego również w Kościele.

Parafianie archidiecezji poznańskiej są bardziej zaangażowani niż przeciętnie u nas. Również upolitycznienie samorządności jest szkodliwe i nie pomaga we wrastaniu w określone miejsce. Gdyby samorzady były wolne od takiej skali upolitycznienia, wielu ludziom byłoby łatwiej żyć. Tymczasem wielu ludzi mówi: „mnie to nie interesuje, niech robią co chcą”. Jacyś „oni”. To jest błąd. Będą potem narzekać, że coś jest niezrobione albo źle zrobione. Ta niewiara, że jeden głos jest bez znaczenia, jest szkodliwa. W rzeczywistości mój jeden głos pomnożony przez setki czy tysiące ma siłę i jest narzędziem wpływu. Niewątpliwie mniejsze upolitycznienie samorządu i silniejsze poczucie związku z miejscem, w którym przyszło nam żyć, sprzyjają samorządności.

- Czyli warto pracować nad tym, żeby poczucie wspólnoty się pojawiło, bo to się być może przełoży się na potrzebę partycypacji społecznej, w zaangażowanie choćby tylko w wybory.

- W zasadzie we wszystkie działania wspólne. Odwołam się do mojego kościelnego doświadczenia: jeżeli w jakiejś parafii udawało się wzbudzać w ludziach poczucie, że to jest ich parafia, ich miejsce, łatwiej było coś wspólnie osiągnąć. Podobnie poza Kościołem. Jeżeli ludzie będą myśleć „to jest mój Koszalin”, łatwiej zakaszą rękawy i powiedzą sobie „zróbmy coś dla tego miasta, dla naszej małej ojczyzny”. To pomnażanie dobra w czystej postaci.

Rozmawiał: Andrzej Mielcarek.

Tekst jest przedrukiem z prasy (miesięcznik Prestiż)